

Wstęp

A gdzie ty jedziesz! Przecież tam narkotyki, napady, rozboje, morderstwa... Taka była reakcja większości znajomych, kiedy dowiadawali się, jaka jest trasa mojej kolejnej podróży. Nawet jeżeli nie do końca tak brzmiała ich reakcja słowna, to tak myśleli.

- Byłeś, widziałeś?
- No, nie... Ale tak wszyscy mówią.
- Jacy wszyscy?

Tutaj interlokutor zwykle zaczynał plątać się w zeznaniach.

A ja wiem, że opinie tych, którzy ten kraj odwiedzili, są zupełnie odmienne. Kraj ciekawy, ludzie przyjaźni. Przy zachowaniu zdroworozsądkowej ostrożności można bez większych obaw podróżować, i to w pojedynkę.

Mam nadzieję, że tego zdrowego rozsądku mi nie zabraknie, kiedy będę obalała mit o niewyobrażalnych niebezpieczeństwach czyhających na przybywających do Kolumbii – kraju Gabriela Garcii Márqueza i Fernando Botero. I Escobara też... Kraju złota i szmaragdów. Kraju tajemniczych cywilizacji Tierradentro i San Agustin...

(...)

Rozdział 6. Zagadki Tierradentro i San Agustin – ale najpierw trzeba tam dojechać

(...)

Jestem już kolejnym pasażerem pickupa. Ilość toreb, koszów, skrzynek, worków jest odwrotnie proporcjonalna do liczby pasażerów, ba, nawet do liczby miejsc w samochodzie. Samych pasażerów jest więcej niż miejsc. Ale jakoś zostajemy upchani wbrew powszechnie znanej tezie, że samochód nie jest z gumy... Jeszcze trochę krążymy po mieście, pan kierowca coś załatwia, jeszcze dobiera jakieś pakunki i... wjeżdżamy na dworzec autobusowy!

Nawet nie pytam, po co w takim razie jechałam do centrum. Panowie wymieniają jakieś papiery, między innymi pan kierowca oddaje panu kasjerowi świstek, na podstawie którego jechałam taksówką (!) i w końcu wyjeżdżamy z miasta.

W świetle ostatnich wydarzeń fakt, że gdzieś w połowie drogi jedno z kół samochodu zaczyna dymić, nawet mnie nie wzrusza. Pan kierowca wyjmując narzędzia, zdejmując koło i nie ścigając się z czasem, usiłuje je przywrócić do stanu używalności. Dookoła góry i las, w dole szemrze strumyk, na drzewach popiskują ptaki. Sielanka...



W końcu docieram na miejsce. Noclegu szukać nie muszę. Samochód zatrzymuje się w środku wsi, a ja daję się „zagarnąć” kobiecie stojącej przy drodze – i równocześnie przed swoim hotelem. Nie zapominam jednak, że jakoś muszę się stąd pojutrze wydostać. Pan kierowca twierdzi, że 6:30 będzie jechał, jeżeli nie on, to kolega.



Rzucam bety i zaczynam zwiedzanie. Półtorej godziny, jakie mam do dyspozycji, powinno wystarczyć do zwiedzenia dwóch muzeów zamykanych o 16:00. A zwiedzić je wypada – to dobry wstęp do jutrzejszego spotkania z odkrytymi w tym miejscu unikalnymi obiektami, podziemnymi komorami grobowymi. Poza tym cena za zwiedzanie całego terenu archeologicznych wykopalisk obejmuje również wizytę w tych muzeach. Jutro, jak wyruszę na cały dzień w góry, na muzea już czasu nie będzie.

W muzeum archeologicznym eksponowane są znalezione na terenie wykopalisk urny, w muzeum etnograficznym przedmioty używane przez Indian Páez, zamieszkujących te tereny przed przybyciem Hiszpanów. Niemniej uważa się, że to nie oni byli budowniczymi podziemnych grobów. Na temat ich poprzedników niewiele udało się naukowcom ustalić. Widomo tylko, że pozostawione przez nich obiekty cmentarne są unikalnym zjawiskiem na terenie obydwu Ameryk, jeżeli chodzi o skumulowanie na jednym terenie. Wzmianki o istnieniu tajemniczych grobowców pojawiały się już od czasów kolonialnych, ale metodyczną eksplorację stanowisk Tierradentro rozpoczęto w 1936 roku.

Szacuje się, że podziemne grobowce powstały między 1200 a 1400 rokiem naszej ery (wcześniej datowano ich wiek na pierwsze tysiąclecie n.e.). Odkryto około stu podziemnych komór grobowych położonych na zboczach i szczytach gór. Wszystkie wydrążone zostały w miękkiej skale, na planie okręgu o średnicy od dwóch do siedmiu metrów. Solidne kolumny podpierają kopułowe sklepienia przykrywające komory. Do wnętrza komór prowadzą



masywne schody z wielkich kamiennych brył. Bardzo „niemiarowych”, zatem schodzenie do nich i wychodzenie z nich to prawdziwa katorta. Ale to, co można zobaczyć w środku, warte jest wysiłku. Ściany podparte są pilastrami tworzącymi oddzielne nisze. Większość ścian, pilastrów i kolumn pokryta jest malowidłami. Przeważają figury geometryczne oraz stylizowane, zoomorficzne

twarze. W czerni, czerwieni i bieli. Czasem bardzo zniszczone, ledwie czytelne, czasem w bardzo dobrym stanie.

W tych hipogeach znaleziono urny kryjące prochy skremowanych ciał zmarłych, w jednej komorze było nawet do czterdziestu urn. Jak zbadali uczeni, grobowce były kilkakrotnie otwierane, aby umieszczać w nich kolejne urny z prochami zmarłych. Oprócz urn w kryptach znaleziono liczne przedmioty codziennego użytku składane w trakcie pochówku. To wyposażenie jest zróżnicowane, uzależnione od statusu społecznego zmarłego.

Na mniej więcej piętnastokilometrowej trasie zwiedzania wyodrębniono pięć stanowisk. Najzasobniejsze w liczbę podziemnych grobowców jest stanowisko Segovia – jest ich tutaj dwadzieścia osiem. Na stanowiskach Alto de Duende i Loma de San Andrés jest tylko po kilka komór. Opiekun tego ostatniego miejsca, Jesus, koniecznie chce odkupić moją czołówkę. Przykro mi, ale jednak taka latarka bardzo się przydaje w podróży.



El Tablón grobów nie ma w ogóle, jest tylko ekspozycja kamiennych, rzeźbionych w wulkanicznej skale figur, podobnych do tych znalezionych w San Agustín. Posągi mają od jednego do dwóch i pół metra. Przedstawiają postacie ludzkie z nieproporcjonalnie dużymi głowami. Żaden z posągów nie został znaleziony w podziemnych grobowcach, ale na dnie doliny. Niektóre są poważnie uszkodzone.



Alto del Aguacate to wyzwanie dla zwiedzających i niewielu ich tutaj dociera. Bo *Alto* to całkiem spora góra. Żeby zobaczyć szeregiem ułożone na szczycie grobowce, tym razem płytkie, bez schodów, trzeba pokonać ponad czterystumetrową różnicę poziomów. Biorąc jeszcze pod uwagę odległość, jest to jednak pewien wysiłek. Ale zdobywanie wzgórze sprawia mi niekłamną radość. Mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie i jak przed laty wędruję tatrzańskimi szlakami. Pogoda wspaniała. Domostwa rozrzucone na stokach sąsiednich gór świadczą, że ktoś tutaj mieszka.



O ile wejście na szczyt zabiera mi trochę czasu, zejście jest błyskawiczne. A to za sprawą niemal pionowego zbocza. Właściwie to nie schodzę, ale ześlizguję się. I jestem przeschęśliwa. Po pierwsze, że wróciłam do rzeczywistości cała, nie połamana. Po drugie, że nie posłuchałam rady pana muzealnika. Podczas mojej wizyty w muzeum sugerował, żeby zacząć

zwiedzanie od Alto del Aguacate, a skończyć na stanowisku Segovia. Myślę, że zdobywanie tak stromego zbocza góry dałoby mi w kość tak, że o Segovii już bym nie miała siły nawet myśleć.

Między stanowiskami El Tablón a Loma de San Andrés trasa wiedzie przez centralną część wioski Andrés de Pisimbalá. Warto się tutaj na chwilę zatrzymać ze względu na unikatowy, kryty strzechą kościół z XVIII wieku. Siedząc w jego wnętrzu (o dziwo, otwartym!), patrząc na surowy wystrój ołtarza, indiańskie rzeźby,



drewniane belki stropu, nie zdają sobie sprawy, że jestem jednym z ostatnich podróżników odwiedzających to miejsce. Dokładnie za miesiąc, w Wielki Czwartek, kościół przestanie istnieć. Wielki pożar unicestwi budowlę.

Okazuje się, że w wiosce jest parę sklepów. I kręci się nawet kilku podróżników! Czyli w jakiś sposób przybyli tutaj, czyli „coś” jednak jeździ! Kupuję bułki, colę, lody i przeprowadzam wywiad na temat: gdzie też można stąd, z San Andrés, dojechać. Pan sprzedawca zapewnia mnie, że codziennie o godzinie 6:00 jeżdżą autobusy do Popayán! Podaje nawet nazwę firmy, jaka ma być napisana na autobusie.

- Jutro, w niedzielę też?
- Tak, każdego dnia.
- A blokady?
- Są, ale na razie ten autobus jeździ. A przynajmniej dzisiaj jechał!

Wstaje świt, gdy wychodzę z hotelu i staję na skraju drogi. I prawdę powiedziawszy, nie wierzę własnym oczom, gdy o 6:10, czyli zaledwie z dziesięciominutowym spóźnieniem, przybywa biało-czerwony autobus będący kiedyś amerykańskim autobusem szkolnym.



Droga do mojego dzisiejszego celu upływa w zasadzie bez atrakcji. No bo cóż to za atrakcja: czekanie pół godziny w jakiejś małej miejscinie na kogoś, kto i tak nie przychodzi. Jedziemy dalej. Kolejne pół godziny jemy śniadanie w przydrożnym barze. Zbliżamy się do Popayán. Wszystko wskazuje, że tutaj już coś się dzieje. Coraz częściej pojawiają się posterunki policji i wojska. Ostatnie kilometry przed miastem pokonujemy slalomem ze względu na naprzemiennie usytuowane zasieki z beczek ustawionych od skraju szosy do jej środka. Jeden z policjantów, może to wojskowy, wsiada do autobusu i podwozimy go do miasta.

Dworzec. Niby ludno, ale kasy pozamykane. Kilka koczowisk. Jak długo koczują? Nie pytam. Autobusy nie jeżdżą. Jak długo jeszcze? Nikt nie wie. Paru naganiaczy kompletuje *colectivo* do San José (a gdzież to jest?) bez gwarancji dojechania. Udaje mi się dowiedzieć, że na jutro, na godzinę ósmą rano, zwołane jest „pospolite ruszenie” przewoźników. Co uradzą?

Zatrzymuję się w hotelu blisko dworca. Tak będzie wygodniej niż w centrum. Postanawiam, że jutro i ja przyjdę koczować, czekając, aż „coś” będzie jechało do San Agustín. Tymczasem nie pozostaje mi nic innego jak zająć się tym, po co do Kolumbii przyjechałam, czyli zwiedzaniem. A jest co oglądać...